

# EDIELWEISS 1943

## World at War



**Niebo pełne żelastwa,  
lazaret pełen idiotów**

RUMBURAK JOKERMAN

# 1 września, 1943

---

Dzisiaj przywieźli mnie na to zadupie. Nie metaforycznie. Dosłownie. Koniec świata, gdzie kończą się drogi, a zaczynają wymówki. Wczoraj Oberhaupt wygłosił odezwę, że Edelweiss przystępuje do wojny przeciwko zbrodniczemu, barbarzyńskiemu sojuszowi sarmacko-dreamlandzkiemu i ich marionetkom. Słuchałem tego w mieście, w cieple, jeszcze z myślą, że mnie to nie dotyczy.

Odezwa do Narodu Szarotki

A więc wojna! Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie w dolinach i na szczytach, publiczne i prywatne, przestawiamy na specjalne tory. *Es ist Zeit!* Weszliśmy w okres próby, przed którą stawia nas bezwzględna historia.

Cały wysiłek narodu Edelweiss musi iść w jednym kierunku. Nie ma już rolników, urzędników czy rzemieślników – od dziś wszyscy jesteśmy żołnierzami Heinza Grunera! Nie pozwolimy, by barbarzyńcy z Księstwa Sarmacji swoimi butami bezczęścili nasze przełęcze, ani by chaos z Królestwa Dreamlandu zakłócił spokój naszych miast.

Musimy myśleć tylko o jednym: *Kampf bis zum Sieg!* Walka aż do ostatecznego zwycięstwa, dla chwały Szarotki i bezpieczeństwa naszych granic! *Vorwärts, Edelweiss!*

– Powodzenia – rzucił kierowca na pożegnanie.

Powodzenia. Jakby wysadzał mnie na urlopie, a nie na posterunku, który nawet na mapach wygląda jak błąd drukarski. To jest ostatnie miejsce, do którego ta wojna może dotrzeć. Jeśli już ktoś ma atakować Edelweiss, to raczej od zachodu, nie przez jakieś zapomniane kaniony. Panikują. Barany.

Niszczą mi karierę. Dwa miesiące temu otworzyłem śliczny gabinet w Wolkenbadzie. Dobra lokalizacja, świeże ściany, nowe wyposażenie. Szpital plus prywatna praktyka ustawiłyby mnie do końca życia. Jeszcze Sarah... moja asystentka. Ładna, bystra, wiedziała, kiedy się odezwać, a kiedy zamknąć drzwi. Może coś by z tego było. A teraz wszystko w pizdu. Bo wojna. Bo potrzebują lekarzy. Lekarz na wojnie nie zarabia. A ja potrzebuję kasy, nie patriotycznych frazesów.



Teraz jestem tutaj. Grenzposten Kanzelpass. Z-A-D-U-P-I-E przy granicy z czymś, co kiedyś nazywało się Sławonią. Kurwa mać. Każą nam pilnować granicy z ruinami. Z niczym. Co następne? Szukanie drzwi do lasu albo pilnowanie cieni?

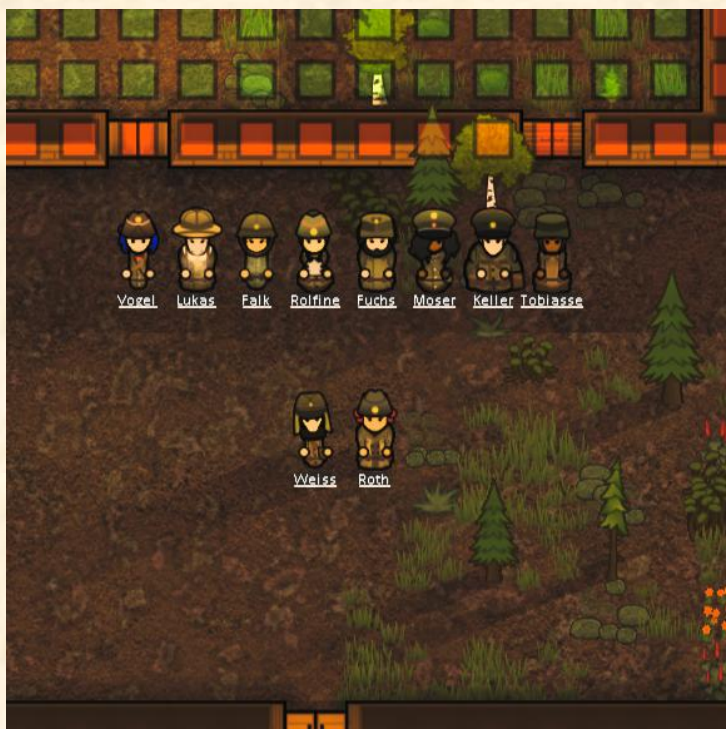
Nie mają nawet prądu. Wczoraj zostali odcięci od zasilania, bo dowództwo uznało, że są ważniejsze miejsca. Pałac Oberhaupta. Dom towarowy w Grindewald. Burdel w Alte Stadt. Lista priorytetów państwa zawsze mówi więcej niż odezwy. A tutaj nikt nawet nie pomyślał o generatorach. Teraz siedzimy przy pochodniach, w dymie i półmroku, jak w jakimś pieprzonym średniowieczu. Dobrze, że dali nam chociaż karabiny. Choć i to wygląda jak łaska, nie standard.

Miałem być dwudziestym pierwszym członkiem oddziału. Na miejscu okazało się, że w noc przed moim przybyciem połowa uciekła. Po prostu zniknęli. Bez strzału, bez alarmu. Zostały tylko sieroty. Za głupie albo za bardzo nieporadne, żeby wiać tam, gdzie pieprz rośnie. Ale w sumie czego się spodziewać? Ci ludzie trafili tutaj, bo nie radzili sobie w normalnym życiu. Coraz częściej zastanawiam się, czy oni w ogóle wiedzą, jak używać broni, czy tylko ją noszą.

Na czele tej zgrai stoi Otto Weiss. Dziadek, który powinien bawić wnuki, a nie bawić się w wojnę. Pięćdziesiąt lat. Piękny wiek. Ja przez tych debili z wojska raczej do niego nie dożyję. Patrzy na ludzi jak ojciec, a nie jak dowódca. Może to i dobre. Może śmiertelnie niebezpieczne.



To jest bardziej burdel niż wojsko. Jak w tych powieściach sprzed dwudziestu lat, które wszyscy czytali, a nikt nie brał na serio. Banda degeneratów, omyłkowo zapakowanych w mundury. A mundury... chyba wyciągnęli je z muzeum. Żaden nie pasuje do drugiego. Wyglądamy jak grupa dzieciaków, która przebrała się w to, co znalazła na strychu. Brawo, armia.



Na powitanie – poranny apel. Weiss mówił coś o obowiązku wobec ojczyzny. Podziękował tym, którzy zostali. Kazał nie panikować, bo wojna jest daleko. I odesłał wszystkich do obowiązków. Widać było, że odbębnił to tylko po to, żeby „było”. Żeby zachować pozory normalności.

Gościu. W nocy spierdoliła ci połowa oddziału. Nie masz prądu. Nie masz łączności. **Nic nie jest w porządku**, tylko nikt nie chce tego powiedzieć głośno.

Po apelu zawołał mnie do siebie.

Stała przy nim czterdziestoletnia kobieta, wyprostowana, z rękami splecionymi jak u kogoś, kto całe życie pilnuje porządku.

– Anna Vogel, szefowa lazaretu – przedstawił ją. – Od dzisiaj jesteś pod jej rozkazami. Zawahał się chwilę, jakby sam zrozumiał, jak to brzmi.

– Oczywiście pod moimi i Unteroffiziera Rotha również, ale głównie ona będzie tobą dyrygować.

Dyrygować. Jasne. Dyrygować to możesz swoimi baranami. Mną nie tak łatwo. I na pewno nie dam się ustawiać jakiejś podrzędnej pielęgniarce, nawet jeśli ma stopień.

– Anna Vogel, miło mi – wyciągnęła rękę. Zrobiła to niechętnie, jakby dotykanie ludzi było jej obowiązkiem, a nie wyborem. – Mam nadzieję, że współpraca nam się ułoży. I że za dużo pracy nie będzie.

Uściskałem jej dłoń. Nie będę robił afer od pierwszego dnia. Jeszcze nie. Póki pani niebiesko włosy nie będzie mi wchodzić w paradę.



– Lazaret jest w tamtą stronę – wskazała. A potem wytarła dłoń w chusteczkę. Zapach fenolu uderzył mnie od razu. Perfekcyjna dezynfekcja. Czyżby bała się zarazków bardziej niż wojny? Warto zapamiętać. Każdy ma tu swoje obsesje.

„Nie będziemy mieli dużo pracy”. Jasne.

Dziesięć minut później opatrywałem Fuchsa. Zrobił sobie skrót przez drut kolczasty. Krew, szarpanina, głupie tłumaczenia. Ja pierdołę. Ci ludzie pozabijają się sami, zanim ktokolwiek do nich strzeli.



Dyscypliny zero. Ja zakładałam bandażę temu nieszczęśnikowi, a przed drzwiami widzę, jak Falk mizdrzy się do Tobiasse. Kolego. Na podrywanie dziewczyn monopol to mam ja. A przynajmniej tak mi się jeszcze wydaje.

## 5 września, 1943

---

Nie wiem, co oni robili przez te wszystkie dni, odkąd tu są. Bałagan jak po przejściu huraganu. W baraku syf taki, że spokojnie mogłoby tam coś wyrosnąć. I chyba nawet rosło.

W końcu jednak coś drgnęło. Roth zarządził „uprzątnięcie przedpola”. Kazał rozwalić ruiny na zachodzie. Stał, wypiął pierś i mówił, jakby dowodził armią, a nie garstką zmęczonych ludzi.

– Wróg może się tam przyczaić w każdej chwili! – perorował. – Nie możemy dać mu pola do zaskoczenia!

Rozebrali ruiny. Odzyskali trochę cegieł. Liczyłem, że wreszcie ogarną podłogi, bo klepisko w lazarecie to gangrena na życzenie. Nawet *Frau Blau* się ze mną zgadzała. To był jeden z nielicznych momentów porozumienia. Ale Weiss i Roth uznali inaczej. Wszystkie materiały trafiły do magazynu. Żeby je szczury zjadły. Priorytety.



Wczoraj obudził nas huk. Jak ostrzał artyleryjski. Alarm. Roth walił w trąbkę jak opętany. Chaos, bieganina, krzyki. Vogel ściągnęła mnie do ambulatorium. Szybko. Zbyt szybko. Nie było po co. To nie był ostrzał. To deszcz meteorytów spadł na północną część posterunku.

– Uff. Mają szczęście – stwierdził Keller.  
– Już miałem do nich strzelać. Tak. Równie dobrze możesz mieczem ciąć powietrze.

Klara Moser wyszła z bazy. Wróciła dwie godziny później z dwoma facetami. Nieśli stół do pokera. Skąd go wytrzasnęła – nie wiem. I chyba lepiej nie wiedzieć. Stół trafił do pokoju Weissa. Może nam pozwoli z niego korzystać. Może.

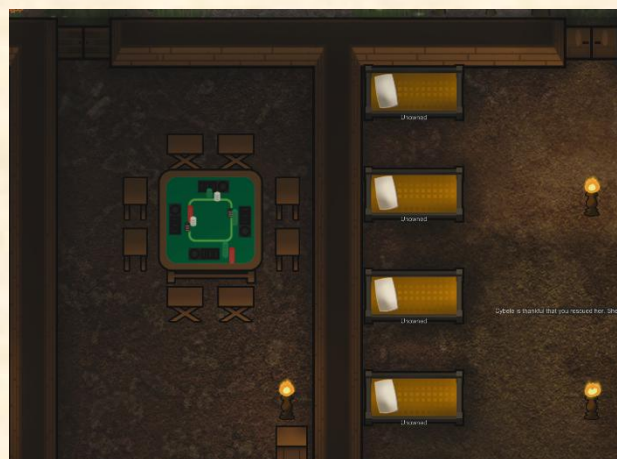
Roth prawie dostał zawału. Darł się o regulamin, że kasyno tylko dla oficerów. Nikt go nie słuchał. Jak będzie dalej pierdolił, skończy w latrynie. A potem w lazarecie. A mnie mogą się przypadkiem pomylić leki. Takie rzeczy się zdarzają.

Okazja trafiła się jeszcze tego samego dnia. Weiss i Roth poszli na spacer. I spotkali niedźwiedzia.

**Wkurwionego niedźwiedzia.** Poturbował ich porządnie.

Serio. Patrzyłem na to wszystko i pomyślałem, że Sarmaci ani Dreamlandczycy nie będą musieli się tu specjalnie wysilać. Zrobi to natura i własna głupota.

– Ej, a może łatwiej będzie zarządzać posterunkiem, jak ich po prostu zostawimy? – rzuciłem do *Frau Blau*. Nie podłapała żartu. Spojrzała na mnie tak, że zrozumiałem,



że żarty kończą się szybciej, niż myślałem. Znowu zostaje sam. Z bandą debili. z kijami w tyłkach.

Wojna przypomniała o sobie, kiedy zszywaliśmy naszych „dowódców”. Nad posterunkiem rozegrała się bitwa powietrzna. Nie wiem, jakie to były samoloty. Wiem tylko, że było ich dużo. Huk, wybuchy, metal spadający z nieba. I ciała, które spadały razem z nim.

Z wraków wyciągnęliśmy dwóch rannych. Personalia nieznane. Nieprzytomni. Ustabilizowaliśmy ich. Na wyraźne życzenie Vogel.

Ja bym nie marnował leków. Nie mamy nieskończonych zapasów. A coś mi mówi, że dostaw nie ma co się spodziewać. Wojna jeszcze się tu na dobre nie zaczęła. A ja już widzę, jak to się skończy.

